

p. Roman Paul.

Harold Mallet.

SARMATA



PISMO LITERACKO-SPOŁECZNE

MIEDZIEZY SARMACKIEJ

W

KURYTYBIE.



1931.

BIBLIOTECA
da Sociedade de Cristo
Curitiba PR

RCN / 160A

R

O K I. CZERWIEC → LIPIEC Nr. -

SIERPIEŃ.

4

Wydawnictwo Stowarzyszenia Studentów

"SARMACJA".

Okładkę opracował

Kol. RYSZARD LAS.

Adres:

"SARMATA"

Rua Dezembargador Motta - 81.

Curityba - Paraná - Brasil.

Numer pojedynczy 1\$500.

Grady Jarosław.

Poraz czwarty porocam z otykadu
kolejny polskich w potudnisoych stawa
Pracyli - znowu wznowiony na
z wiara, ze polskosc na tym wzroze
Karakter Polki na gozcinnej ziemie
bracylijskiej nie jest rjainkiem przeje
jcionem, ale cenio Towatem, silnem
i twierdym, - i znowu przywrócić przed soba.

Starego? - Mater temet Jarosław,
wiecei brania wiele, Podstaw do takiego
twierdzenia i dowodów, przejawiają, doku-
mentujących to prawo - jest spora.
Nie mogę tu więcej o wszystkim, wy-
bieram więc jeden tytuł - Was ujęliście.

Oto, co mię najbardziej uderzyło w
czas ostatniego objadu: to wiary i
zycia, ażeeli Jarosław, Wzrost Wolności
w życiu społecznym polskiego Orod-
niatwa. Niemal we wszystkich one-
dłach spotykatem się z organizacjami

by autodzierżym w wybranych "zapadłych"
zakładach wstąpiła miż ona, iluzjonca
dokola stowarzyszeń orientacyjnych i spor-
towych; Kola uścisliwej obrzydzenia,
quinada, "Inuakion", chory uścisliwej i zci-
stkie, oddziały konna - wszystkie te
pięć tym razem uścisliwej i zyciem, sa-
palem i ferizyma, w wielu ościsliwej, dosko-
nole edycyjnizmowa, świadoma dyle-
matycznych celów i zadań.

To jest stan uścisliwej, wśród broni i
pił, wśród chat uścisliwej i herosaryctw
rozgarnięcia. A tutaj, w Stolicy Państwa,
zadaniem Własnego - "Sarmaty".

Me uścisliwej, czyż nie uścisliwej, ale uścisliwej
uścisliwej, to jest fakt uścisliwej, iż się uścisliwej
jeuimie dopetuiacie, - że jest eicie jakby
Dwoma skrytykami tego samego i Ducha
Młody Polak uścisliwej Graejijskiej -
Tanci uścisliwej, ciata, w swartej orga-
nacji sportowego rozumienia, w zdrowej eks-
poneji fizycznej iety, wżar uścisliwej, odwagi,
radomii publikacji, i znajdują wypracowania

Nowy Komitet Redakcyjny "SARMATY".

Zarząd Stow. Stud. "sarmacja", będąc zmuszony zwolnić z poszczególnych funkcyj członków pierwszego Komitetu Redakcyjnego "SARMATY", a chcąc usunie niedopuszczyć do upadku tego pisma - poruczył kol. Witoldowi Paulowi sprawę utworzenia nowego komitetu.

Kol. Paul zwołał specjalne zebranie członków interesujących się tą sprawą, na którym wyłoniono następujący Komitet Redakcyjny "Sarmaty" na okres 1931-32r.

- Redaktor naczelny - Leszek Roguski.
- Redaktor - Witold Paul.
- (Ryszard Las
- Administratorszy (i
- (T. Wątroba.

Komitet powyższy będzie prowadzić swe prace w myśl już poprzednio powziętego planu, oraz postara się kontynuować prace swych poprzedników.

Zmiany więc, jakie zaszły w Komitecie, uważać należy za czysto wewnętrzne i małoznaczne.

Cel i charakter "SARMATY" pozostały te same!

)------(

Dalszy ciąg artykułu p. Posła Dra. Tadeusza Graboskiego, z powodu czysto technicznych trudności, byliśmy zmuszeni wydrukować na stronicach 4-ej i 5-ej.

... młodości, promiennej, w otęczeniu,
w tężyznie ducha, w harmonijnym po-
locie wrażeń słowa, w cadojonej eto-
pasji wartościowych, w sercach
Wacych i wdęgach, w życiu, w ma-
rze, w tyknot, w porzów. — dojsie wy-
tem ujedłachetniejszem z insty-
tów ludzkich, tej potężnej dzwigni
życia, której na imię radost twórcza.

której z Was baediej potrzeb-
ny więcej waci? — jedni i drudzy jes-
tencie tworem tderzący w Narodzi-
wacym potrzeby wewnętrznej; — jedni
i drudzy nadsicie wartości potencjal-
ne, które kiedyś da dobra usodu su-
żtkowane być winny, jeżeli wytracie
i opęniecie w zedanie dokoiwa.

Przed Wami entanora, Sarmaci
lesy zedanie doniołej wagi, — pod-
mierzenia i usłachetnienia polkosc
brzylińskiej przez Twórcę Słowa przez
Piekus i Latukę, przez entuzjarm

... młodości, promiennej, w otęczeniu,
w tężyznie ducha, w harmonijnym po-
locie wrażeń słowa, w cadojonej eto-
pasji wartościowych, w sercach
Wacych i wdęgach, w życiu, w ma-
rze, w tyknot, w porzów. — dojsie wy-
tem ujedłachetniejszem z insty-
tów ludzkich, tej potężnej dzwigni
życia, której na imię radost twórcza.

Pamiętajcie bracie, Drodzy Sarmaci,
że stojący są już na emigracji polskiej
obres „ludzi kadrnych”, pionierów polskiej
obres „fojasy” i „fakoni”, pochodni w głąb
— a rozyna się nowa epoka — uiby w Polsce
Niepodległej — pochodu wzwoyzi, ku pod-
mierzeniu duchowemu i kulturalnemu
polskiego osodnictwa, ku zjednoczeniu
jego, do zorganizowaniu jego życia, ku
zwoloryzowaniu jego pracy i zastęży.

Now wrazenie, ierica w tyknot porzy-
waniach dotychczasowych to wyzuli i
arotumwili, — za woslicie na tę drogę
wzwoyzi. Nie porostaje mi wże nic inna-
go, jak Wam eyczej, bysice na tej drodze
niema woselkich przeschód, wytrwali i kie-
dys mogli spojrzeć poza siebie, uiby
z woskiego, sbonerowego srazętu.

W Kwoyfybie, dn. 2. VII. 1931. T. Grabowski
Poczt. R. P. —

NIE TRZEBA NIGDY ...

Nie trzeba nigdy przywiązywać wagi,
 Co jest śmiertelne i na-ziemską formą,
 Co ma za- chcenie nad siebie i norme
 Ostre i głodne zawsze, jak miecz nagi.
 Lecz trzeba umieć ezucia zbierać z ziemi
 I, gdy potrzeba wznieść się w niebo niemi.

Nie trzeba nigdy okiem patrzeć szerzej,
 Jak, co podobne nienawistne znieści;
 A nic, co być ma, nigdy nie od treści,
 I nic-za siódmą rzekę nie odbieży.
 Trzeba brać tyle ile bierze Chaton,
 Bo to jest tylko, co jest w sam raz miarą.

Nie trzeba nigdy w sobie wznosić kopce,
 I mieć nie swoje i nie znane za- nie,
 To, co być może, mieć nie może granic,
 Jan być nie może swoje, kiedy obce.
 Nie wszystko mieści się w uznane koło;
 Nie szkoła życiem gdyż, lecz życie szkołą.

Nie trzeba w życiu nigdy być, co spycha,
 Co ma za dźwignię dusz najprostszych grzeczność,
 Co zgarnia cudzą i swoją słoneczność,
 I w cudzy sący- jad z swego kielicha.
 Trzeba iść sobie wydeptaną drogą,
 I plecy stawiać nieraz i za kogo.

r.

DO SARMATÓW.

I d z i e c i e ... Was rzesza nie-
 duża ale ogromna w wysiłku nadludzkim tworze-
 nia duszy polskiej, nie tej zmanierowanej i
 oschłej, nie tej rozplakanej a rozczulonej,
 ale tej silnej w zasoby doświadczenia dni prze-
 szłych, ale tej mocarnej świadomości zadan
 i celu, ale tej dumnej, która odczuwa, że od-
 powiedzialność historyczna za całość przy-
 szłości naszej na siebie chce wzięci bierze.

I d z i e c i e ... zielony las Po-
 lono-brazylijanów w znojmym trudzie myśl młó-
 dą i czyn twórczości kujący. Przyszłość i na-
 dzieja Wychodźstwa Polskiego w Brazylii.

I d z i e c i e świadomi obowią-
 ków w pracy Waszej, w żnułnem budowaniu w
 snach naszych wymarzonego gmachu Polonji bra-
 zylijskiej.

I d z i e c i e a z Wami i my -ca-
 łe rzesze, całe szeregi z odległych puszczy,
 kolonij, osad, miast i fabryk, od pluga i war-
 sztatów - młodzieży polskiej rozsianej w ol-
 brzymiej, słonecznej Brazylii.

I d z i e m y - my nowe pokolenie,
 wznosząc wysoko swe ramiona do walki i czynu;
 idziemy krokiem młodzieńczego zapału i entu-
 zjizmu.

I d z i e c i e , a z Wami i reszta
 młodzieży polskiej, świadoma, że tylko my sa-
 mi kować musimy w twardym granicie dzisiej-
 szej rzeczywistości ścieżkę ku leprzej, ja-
 śniejszej przyszłości.

I nie dziw, wtedy, że o nas mówić
 i wiedzieć historja będzie : o tych, którzy
 ją lepią na karty nagie, dają treść bujną, peł-
 ną rozmachu i siły wyrazistej, siły nowego po-
 kolenia.

NOWE, POKOLENIE - M Y .

kilka wyrazów - trzy wyrazy, a w nich cała ideologia, w nich myśl rzeczywszystko i wszystkich-obejmującej, a nie o-obejmowanej. Myśl wymagająca "p r a c y".

I gęstsze raz pracy.

Wyłężyć mięśnie by dobić do me-ty; złączyć wysiłki, koordynując wyniki; skoncentrować pragnienia, by sięgnąć szczytu: nie z osobna, ale łącznie z tem, co już było najlepszego.

W y r u s z y ć krokiem twardym a pewnym ku PIĘKNU I DOSKONAŁOŚCI ISTOTNEJ.

W y r u s z y ć nie-tylko dla zdobycia dyplomów naukowych, nietylko na zabawy, igrzyska i zawody - ale i dla zrozumienia, odczucia i przyswojenia sobie tych wielkich rzeczy, niedających się dowodzić, ale tkwiących w nas, jako pewnik istotnego, pewnik nienaruszonego, przed czem korczy się dusza, a pod wpływem czego ta ostatnia pragnie się rozświecić, pragnie bielszą się stać.

W y r u s z y ć, zataczając coraz szersze kręgi, nawiązując nic braterstwa wspólnego, braterstwa młodej Polonii Brazylijskiej.

W y r u s z y ć i iść jak rwący potok górski poprzez tamy i zapory, poprzez bary z przeszkodami ku swemu wielkiemu celowi:

Tworzenia młodej Polonii brazylijskiej.

Niech głośno orzmi nasz młody, twarzą przed!

Józef Issakowicz.

WSPOMNIENIA Z OSTATNIEJ REWOLUCJI.

Nareszcie zasłisnęły. Szósty dzień włączęgi i nieustającego deszczu, miał się ku

końcowi. Marna rudera, więcej podobna do zacierowanego domu, na wysokich słupach, przypominających kurcze nęgi, ze schodami drabiniastymi - posłużyła nam za miejsce obozowiska. Z trzaskiem wyłamano drzwi i śmiałek (naturalnie, że z bronia w rękę) zbadał zawartość wnętrza. - Sklep! sklep! - wnet brzęknoły kieliszki, zapanowało ożywienie i spory o wódkę zagłuszyły monotony szum deszczu.

Jak zawsze nasza grupka rozdzieliła się na dwie części. Czterech poszło szukać żywności, a dwóch zostało przy rozpinaniu namiotu i rozniecaniu ognia.

Okolica obfitowała w gęsi i paty, więc nasi wywiadowcy a raczej rabusie, nie tracąc czasu, przynieśli cztery paty i obrzumią gęś. Oprócz tego - srebrny garnek żelazny, dużo czarnego cukru i kawy, gdyż znaleźli trzudomy opuszczone. Jak się później okazało, wiedzieli uciekających w las właścicieli, za którymi, dla dodania strachu, w dodatku przeraźliwie krzyვეli.

Jeden z naszych znalazł nawet zegarek kieszonkowy, cały srebrny. Musiał być bardzo stary, gdyż był wielkich rozmiarów i klekotał jak budzik.

Domy zostały kompletnie obrabowane, pozostawszy od starych pieniędzy miedzianych i biżuterji a skonczywszy na poscieli i blaszkach służących za doniczki.

Nasz bankiet udał się wspaniale i został zamieszczony w poczet najleprzych jakiesmy przedzi.

Godnym wspomnienia był fakt, że potrawy nasze nie były zaprawione solą, tak jak to było prawie że na całej kuli ziemskiej, lecz prawdziwymi kulami karabinowymi, gdyż jakiś dureń, korzystając z naszego dobrego serca, powiesił do wysuszenia nad ogniem swój piecak z nabojami, który się przepalił wniusłszy wystrzałami panikę w całym obozowisku.

B. A. S.

PIERWSZA MIŁOŚĆ.

Dopiero teraz, po tem nagłem, nieoczekiwanem zerwaniu, cała przeszłość stanęła mi przed oczami.

Poznałem ją na balu. Była, dla mych olśnionych oczu, cudną, uroczą... Tanczyliśmy ciągle. Kołysaliśmy się w takt powolnego tanga, płynnego walca, zawrotnego oberka - rozmyślając. Wsiuchiwałem się w jej czysty, aż dźwięczny głos, zapominając o rzeczywistości.

Unosiłem się w krainie bajek... Przepływały potem dni... tygodnie... miesiące...

Każdy dzień zdawał się zacieśniać między nami złoty węzeł przyjaźni, Miłość rozkwitała...

Każdy tydzień odsłaniał mi nowe, zawsze urocze, zawsze już ukochane - dotąd nieznane jej cechy. Ukazywała się przedemną - zawsze piękniejsza, zawsze czystsza, - zawsze więcej ko...

Zapominałem o dniach, tygodniach. Miesiące płynęły cicho, spokojnie - przepelnione szczęściem, wiarą w promienne jutro.

Przyjaźń rosła. Pokrywała się kwiatami miłości. Kwiaty zdawały się mieć życie wieczne...

Pojechałem na wakacje do rodziców. Ach! jakże się wlokły powoli te szare dni, te wieczne tygodnie...

Myslałem tylko o niej. Wciąż stawała przedemną - cicha, uśmiechnięta...

Kochałem?... Ta odległość, która mię dzieliła od niej, te dni samotnie-przepędzone, te noce bezsenne - przekonały mię. Kochałem, tał - jeśli

miłością nazwać można tę tęsknotę niezmierzona, tę promienna chęć widzenia jej, słyszenia jej głosu, patrzenia w jej oczy...

Kochałem!... Byłem kochany!... Co za szczęście!

Z niecierpliwością oczekiwałem godziny wyjazdu.

Nareszcie nadszedł dzień. Żelazny potwór uniósł mię przez kamy i lasy, i zawiózł do krainy mego szczęścia.

Szczęśliwym się czułem! Za chwilę ją zobaczę, za chwilę usłyszę jej wzruszony głos, za chwilę dotknę jej pieśz czułych rąk!

Zbliża się. Będzie co za szczęście! Nie zauważyła mię... Podchodzę do niej. Witam ją, ściskam jej rączkę. Szczęść ciche słowa powitania...

Lecz co to? Wysuwa oziębłą swą rękę z czułego uścisku mej dłoni, rzuca z pogardą - Żegnaj pan - i oddala się pospiesznie.

Stanień jak wyty. Straciłem poczucie czasu i miejsca - tylko krew tętniła w skroniach.

Czyżbym się pomylił? Czy to prawda? Może to tylko sen?

Lecz nie. Słyszę jeszcze wyraźnie to zimne - Żegnaj pana...

Więc to rzeczywistość? Rzeczywistość piękna, o której marzyłem? Gorzki uśmiech rozchylił mi zaciśnięte wargi. Czułem się zdruzgotanym.

Wlokłem się zrozpaczony po ulicach, nie zdejmac sobie sprawy gdzie jestem i dokąd idę... A w głowie wciąż huczy i huczy, rozsadzając czaszkę - Żegnaj pana... Żegnaj pana... Żegnaj... Żegnaj...

Skonczyło się? Czyżby na zawsze? Dlaczego? Może zbliżyć się? Zapytać? Prosić? Błagać? Nie. Nagle zrozumiałem: - Te suche niemilosierne słowa wykopały między nami niezglębioną przepaść! Przepaść nie pozwalającą, zbadać mi przyczyn, prosić wyjaśnień - przepaść nieprzebytą!

Czyżby to był kaprys rozpieszczonego dziecka? Czy chęć poigrania z moją miłością? A może sposób poznania mych uczuć? Nie wiem.

Starałem się wszystkie moje winy przypomnieć. Wszystko przebaczyć. Błagać o wyjaśnienia. Chciałem zobaczyć ją jeszcze raz. Pomówić.

Naprawdę! To zimne, pogardliwe - Żegnaj panie - wciąż huczy w mej głowie, głuszy chęci, znęcała ciało...

Stało się!

Pogrążyłem się w cienną otchłan zapomnianego zapomnienia.

Gorąca pierwsza miłość połączyła się z zimną obojętnością.

1.

PODCZAS DEFILADY.

Wojsko triumfujące defilowało z wielką pompą przez ulicę 15 de Novembro. Był to precudny dzień słoneczny. Tłum uliczny i wojsko kąpali się w złotych blaskach. Zgieńk panował nie do opisania. Czerwone chusteczki u przechodniów i żołnierzy nigotyły się przed oczyma. W miejscu, na którym stałem prawie przez godzinę, pełno było ludzi, a za-tem strasznie ciasno. Ludzie ci byli tak rozentuzjumowani, czy też źle wychowani, że popychając się wzajemnie, wypchnęli mnie na bruk uliczny, gdzie naraziłem się na pastwę konsalich kopyt. Byłem na samym przodzie. Nic dziwnego więc, że zazdroszczono miejsca i czyniono tylko na sposobność wypchnięcia mnie z niego.

W całym tem natłoku spadziono mi z kieszeni czerwoną chusteczkę. Zaflowałem bardzo. Bo jakżesz tu zostać w ten dzień galowy bez tego koloru? Nagle zobaczyłem wstążkę z długimi końcami, którą opasana była miła panienska. Ozdoba ta szpeciła ją bardzo, wyglądała w niej jak prawdziwy okon. Moje nożyczki, które używam do paznokci, zlitowały się nad nią. Cała zresztą atmosfera panująca, umożli-

wiała wykonanie tego czynu komunistycznego. Chwilę potem przypinałem sobie, z wielkim spokojem, małą kokardkę do klapy mojej marynarki.

Za chwilę już zapominałem o całym świecie. - Tuż niedaleko mnie stała precudna brunetka - czarująca! Oczy jej takie kokieteryjne i takie cudne, a ona taka słiczna, że przypominała mistyczne rusałki. Ona, na odwet, zdaje mi się, że widziała we mnie precudnego ale... smarkacza. Dawała mi "confiança", wyróżniając mnie z dużej liczby adoratorów, jaka ją otaczała. Byłem więc "donżuanem" smarkaczów!

Kiedym się tak rozpływał, zauważyłem nagle, że panna z obciętą wstążką jakoś badawczo mi się przygląda. Ale, chwala Bogu! - już się odchodziła. Spozrzegłem jednak, że była z grubą matroną. Ciarki mnie przeszły od stóp do głowy...

Naraz usłyszałem ostry zgrzyt tuż przed sobą. Jeden skok - i już byłem na chodniku. Niedaleko mnie, na asfalcie, leżał koń. Żołnierz jadący na nim tak jakos upadł, że poplątał się w strzemionach, nie mogąc się odrazu odczepić od szerczącego się konia.

Ze mną też nie było lepiej. Koń poprostu walił się na mnie.

Rozmyślając sobie nad tem całym zajściem, poczułem nagle na mej twarzy ciepły oddech. Odwróciłem się. Moja rusałka stała tuż przy mnie i śmiała się, a ja nieborak, nic dotąd nie wiedząc, wspierałem się na jej ramieniu po tem nieszczęśliwym (?) skoku.

Nie byłem przyzwyczajony do takich emocyj, więc uczułem, że nie potrzebny mi już jest czerwony kolor, bo sam byłem jak burak!

-Perdão senhorita - wyjąkałem i zacząłem przepychać się przez ciżbę. Obróciłem się jednak i - o zgrozo! - zobaczyłem moją nieszczęsną chusteczkę w precudnej ręczce mej uroczej rusałki.

T a k o .

P I N J O R O W S K I W P O L S C E :

Hen daleko, za Guarapuawą, w głuchych i dzikich puszczech, tam gdzie jeszcze żyją koczołnicze plemiona dzikich Indian, istnieje farzenda pod nazwą : " T R E S M O R T E S ", której posiadaczem jest p. Pinjorowski, dawnymi czasami przybyły z Polski.

Siedzi on przy stole, na którym jest rozłożona mapa i studjuje najdogodniejszą drogę do Ojczyzny swych dziadów. Podniósł się, zatarł ręce i zawoławszy "pinga" rozkazał : " Jutro wyjeżdżam, uszykowac walizki !

Obrona droga jechał : Guarapuawa - Kurtyba - Santos - Gdynia i wreszcie Warszawa.

W Warszawie na stacji oczekiwali go p. Filipiak, stary znajomy, który za młodu zwiecał Brazylię. Zaprowadził go do hotelu i pożegnał, przyrzekając spotkać go dnia następnego wieczorem.

W hotelu, na parterze, mieściła się elegancka restauracja, nad nią zaś pierwszorzędny hotel, w którym zamieszkał p. P.

Poszedł do stołowania się w pokojach zeszedł, ażeby spożyć kolację. Po zaspokojeniu tej potrzeby filzologicznej, którą słachta tak bardzo docenia, szczególnie za króla Sasa, zabierał się do wyjścia. Kelner, myśląc, że gość zamierza czynić nie płacąc za kolację, psynał nań kilka razy przezem nasz counter obrócił się. Kelner zbliżył się i podał mu rachunek.

" Jaktol - krzyknął p. Pinjorowski z oburzeniem, wskazując na rachunek - przecież mieszkałam w tem hotelu.

" Wybaczy pan, ale go nie rozumię - odparł kelner.

" Czy to ma służyć jako dowód, że jadłem tu kolację ?

" Nie, to będzie pan łaskaw zapłacić,

bo restauracja nie ma nic wspólnego z hotelem.

" A więc gdzie jest restauracja hotelowa?

" Hotel nie ma jej wcale.

P. Pinjorowski, widząc zbierającą się gawieź uliczną i gości restauracji, przyglądających mu się z szyderczym uśmiechem, a chcąc uniknąć skandalu, nerwowym ruchem wyciągnął portfel, zapłacił rachunek i oburzony wyszedł z restauracji.

Rankiem dnia następnego wyszedł na miasto, w celu zwiedzenia go.

Na głównej ulicy spotkał innego znajomego.

" Jak się pan czuje w Polsce? Czy dawno pan przyjechał z Brazylii? Kilku przechodniów słysząc o te słowa zatrzymało się.

" Nie, przyjechałem wczoraj.

" Czy przywiózł pan co ciekawego?

Powyższa rozmowa zainteresowała przechodni i po chwili uzbierała się ich spora gromada, otaczając rozmawiających.

Policjant, zauważywszy to zgromadzenie, zbliżył się i poprosił zainteresowanych rozmowę, ażeby nie tamowali ruchu ulicznego.

P. Pinjorowski pożegnał znajomego, który spieszył się do biura i poszedł dalej, zatrzymując się obok wystawy, Policjant, znajdujący się w pobliżu, interweniuje ponownie, prosząc go ażeby szedł.

P. P. rozgniewany, wsiada do przechodzącego tramwaju, ażeby uciec przed natarczywymi policjantami. Ujechał kawałek i wysiada. Przy wysiąsaniu łapie go policjant.

" Dwa złote kary za wysiadanie z niełaściwego boku tramwaju.

" Co?

Policjant podaje kartkę z wyszczególnieniem kary. P. P. sięga po portfel i spluwa z pogardą.

" Jeszcze dwa złote za plucie na ulicę.

Do najwyższego stopnia oburzony podaje policjantowi cztery złote i w jego oczach drze otrzy-

mane łwity, rzucając mu pod nogi a zarazem robi pożełnalny gest.

- Hola mój panie, dwa złote za śmiecenie ulicy! Udał, że nie słyszy, ale policjant za-trzymał go za ramię. Po zapłaceniu mówi:

- A jak rzuć się pod tranwaj ile kary?

Policjant nieco podniecony: - Proszę o dowód osobisty.

- Co to znaczy?

- Papiery, któreś się pan wylegitymuje.

- Do moich papierów nie miał nie ma.

- To się on może. Proszę za mnie!

Ton był ten rozkazujący, że pan P.

chocąc nie chcąc dostał się na posterunek policyjny. Tam nie mógł się wylegitymować ponieważ paszport zostawił w hotelu. Wybawił go z opaliów przyjaciel, którego adres miał zapisany.

Wieczorem o umówionej godzinie oczekiwano w hotelu znajomy, który po przywitaniu za-pytał: - Jak się panu podoba Warszawa?

- Wcale mi się nie podoba, to miasto. Już nie można dać kradu, a żeby się nie spotkać z policjantem. Kiedy odchodzi pierwszy pociąg do Gdyni?

- Czy ma pan już zamiar powracać? Nie jest tu tak źle jak się panu wydaje. Pójdźmy do kawiarni, potem odwiedzimy jednego z moich znajomych, a jutro poświęcę dzień, a żeby pan zwiedził miasto.

- Dziękuję, w takim razie pojedę po-jutrze. Udali się do kawiarni. Pan P. zapytał:

- Może mi pan wyjaśni dlaczego wieczo-rem przed każdym ponojem stoją buty, a rano już ich niema.

- Pan też może to robić..

- Jakiś zabierać w nocy obuwie z prze-
deurzwi?

- Nie, wystawiać swoje...

- A żeby mi zmorali?

- I to nie, wystawi pan swoje obuwie wieczorem, a żeby na rano było czyste.

- Tak to rozumię.

Pan Filipiak wierny swem przyrzeczeniom oprowadził Pinjorowskiego po całym mieście, pokazując mu wszelkie zabytki kultury miast i rzeczy godne widzenia.

Bliższe poznanie miasta zrobiło na Pinjo-roskim miłe wrażenie. Znajomy udzielił mu wiadomeści o obyczajach i zwyczajach w kraju i po kilkudniowym pobycie w Stolicy Polski, zemanifestował obyci-olizszego jej poznania. Tak też uczynili dopiero po czterech miesiącach powrócił na swoją fazendę.

OZYRYS WIELKI

TERAZ TUTAJ W OGRODACH....

Teraz tutaj w ogrodach kwitną oleandry
Takie same, jak u Was w wazonikach rosną..
Może jestem dlatego pełen bladej chandry,
Jak zwykle, kiedy słodko czuć powietrze wiosną?..

I może to dlatego czas swój spędzam w parku,
Gdzie mogę być od ludzi z dala sam z swym krzyżem
Zwiesiwszy w dół głowę, aż zaboli w karku,
Wypisuję Twe imię patykami na żwirze?..

I może to dlatego tęsknię z całej nocy,
A o Tobie mi myśleć bardzo jest bolesnie,
I może to dlatego spać nie mogę w nocy,
A jeśli wreszcie zasną widzę Ciebie we śnie?..

.....

Teraz tutaj w ogrodach kwitną oleandry
Takie same, jak u Was w wazonikach rosną...
Może jestem dlatego pełen bladej chandry,
Gdyż wiem, że życie tylko raz być może wiosną.

Z NASZEGO ŻYCIA.

Po wyborach nowego zarządu, praca zawrzała w Stowarzyszeniu.

Prezes pogrzeżył się w zadumę! Los "Sarmacji", ja kilkunastonoga bryła złota, leżał mu na sercu. Nocami walał się po ulicach, szukając w gwiazdarni zasłanym niebie, szczęśliwej drogi dla Stowarzyszenia. Podczas snu nawiedzały go duszące sny.

Sekretarze archiwizowali stare listy, przeglądali zastarzałe papiery, naradzali się, pisali...

Biurogospodarze zapisywali księżki, segregowali, numerowali, uładali... Polek nie starczyło!

Sarronia płacił długi balowe i martwił się, że nic pieniędzy nie zostanie...

Reszta członków rozprawiała, dawny szlachetnie zwyczajem, politykowała, dyskutowała.

Ruch był wielki! Każdy chciał coś zrobić, każdy gdzieś szperał i zawsze coś wynajdywał - to ołedy ortograficzne byłego sekretarza, to śmiertelne przeczki i wedy kroniki, to paszkwilowaśca treść jakiejś tam obrony... Kilku nawet znalazło dziurę w całym.

Zebrań były namiętne! Nie ograniczano się już do wyczerpania porządku dziennego, w wolnych wnioskach wyciągano na światło dzienne i kamienowano słowami, różne ważne i ołache rzeczy.

Kompetencja grała pierwszorzędną rolę. Słowo "rehabilitacja" dumnie wkroczyło na niżyny popularności.

Podawano się do dymisyj, cofano postanowienia, mieszano się do nie swoich spraw, wybierano mężów stanu na odpowiedzialne stanowiska tworzenia gabinetów i załatwiania żywotnych spraw.

Gorączka twórczości rozszerzała się z szybkością epidemii!

"Pro publico bono" - było hasłem momentu.

Jednym słowem - burza w szklance wody!

Pozatem odbywały się normalnie, bo co środę, wykłady literatury dramatycznej p. prof. Juliana Żaczekowskiego. Ilość słuchaczy to opadała, to podnosiła się - zależnie od temperatury. Jak rtęć w termometrze podlegała ścisłe prawom natury.

Sprawa budowy domu "Sarmacji" wysunęła się na pierwszy plan.

Nie budowano jeszcze, lecz zabierano się tylko do kupna placu.

Oglądano więc tereny, smuciono się z powodu braku odpowiedniego, brano udział w wieczeniach, zwoływano ważne i nie ważne zebrania.

Wszystkie wolne place w Kurytybie odpowiednio zbadano i przemierzono po kilka razy tajemnie!

Liczono deklaracje, martwiono się niewypłacalnością banku, spisywano ofiarodawców, cięścono się otrzymywaniem pożyczki państwowej.

Jednym słowem - pracy był nawał.

Bawiono się też. I to jeszcze jak!

Po balu reprezentacyjnym aż niektórych głowy i nogi pobołały od zbytniego tańczenia.

Bo i jak tańczono! - Tańczono, tańczono - popito herbatką - i dalej tańczono, tańczono. Nic dziwnego, że potem się stało kało.

Grało się też w siatkówkę!

Jeden z kolegów zebrał nawet kilka wybitnych talentów w tej dziedzinie i poszedł

z niemi oprócz Bursę. Zaproszono na mecz uroczę Sarmatki, aby podtrzymywały zażartosc w lwich sercach Sarmatów, swemi melodyjnymi głoskami.

Ale nawet i to nie pomogło!

Dostało się po bohaterku "wcielanie" i na tem zakończyły się górnołotne marzenia!

L e s z e k .

LEKCJA FILOZOFII.

Po skończonej przed chwilą, dość uciążliwej "sabatiny" z Historji Naturalnej, paskujemy się na lekcję Filozofji. W sali popychamy się, przewracamy krzesła, krzyk.

W dźwiękach ukazał się nasz "Luchanin" śpiący. Widząc co za caryje się dzieje, zmarszczył czoło, spochmurniał. Usadził się, spoglądając na nas z pod oka.

Zapadła cisza.

W takich momentach, wiemy już, że trzeba zachowywać się jaknajspokojniej, starać się robić miny bardzo niewinne, inaczej nieunikniona "suspensão" na całe trzy dni.

Profesor z wolna odzyskał równowagę ducha i poważnym, uroczystym głosem, przystąpił do wykładu psychologii.

Zaraz na wstępie dowiedzieliśmy się co to jest ta psychologia, następnie jej podział, ewolucja itd. Dopóki jednak nasz system nerwowy nie był zupełnie wyczerpany, popóty słuchaliśmy jako tako. Ale zmęczenie musiało wziąć nareszcie górę i ktoś co chwilę otwierał usta, przeciągał się i wycedzał słowa - "Que troço enato!".

Ziewano...

Na nic się nie zdał z katedry grzmiący głos, na nic przemądre cytaty z łaciny: wszystko to odnosiło taki skutek jak utarte wołanie na puszczy czy też rzucanie grochem o ścianę. Jedynie śmiech miał między nami całkowitą rację oytu.

Śmiano się z żartobliwych powiedzeń profesora i z niedorzecznych odpowiedzi uczni.

Śmiano się najczęściej z białych rzeczy, ot byleby się tylko śmiać.

W oknach potwierzanych na oścież widniało szafirowe niebo; strzępy białych obłoczków przesuwwały się po nim, znikały w jednym oknie, by się potem ukazać w drugim, trzecim... Czasami jaskółka wpadała do sali "piukając" zatrwożona i uciekała.

A tam, za oknami klasy, na szerokim świecie, słońce wiosenne... cudna pogoda...

Zawsza, kiedy tylko spojrziałem w okno, nie widziałem już więcej kolegów, ławek, nie słyshałem wykładu profesora. Myślą biegłem na te kampy, teraz plawiące się w słońcu; na pola pokryte zbożem, nad rzeką, nad morze... Rozkoszowałem się zimną kąpielą w rzece, tym piaskiem nadbrzeżnym i ciepłym, gdzie tak było nieraz przyjemnie prażyć się na słońcu, tą wonią rozkwitłych sadów tętnem nieustającego życia w Przyrodzie....

Ale dosyć częste wybuchy śmiechu ścigały mię z tych wycieczek. Śmiałem wsią więc i ja, a to mi sprawiało jakieś głupie zadowolenie.

Nareszcie ozwał się dzwonek. Wszyscy rzuciliśmy się ku dźwiękom, kto mógł przez ławki - to przez ławki, kto zaś przez krzesła - to przez krzesła.

Po chwili sala zupełnie opustoszała.

Józef C w i k ł a .

FRAGMENT Z PAMIĘTNIKA GLOBTROTTERA.

Kiedy tak jechałem rozmarzony i uwięziony w wagonie kolejowym, którego toczące się koła brały niezmordowanie z lekkimi i ponurymi wstrząsami szynę po szynie; gdy w ciągu dnia, wyglądając z okna przedziału kolejowego, wpatrywałem się w ten daleki, obcy świat, na te olbrzymie góry, lasy pinjorowe i rozległe stepy; kiedy w nocy, w ciemnym

przedziale wagonu sen nie chciał mię owładnąć, gdyż w ciągu szeregu godzin, dziwnie zdenerwowany przysłuchiwać się musiałem monotonnej melodji blednącego pociągu - wówczas zdawałem sobie sprawę, że owładnięta mię stara moja pasja, tęsknota za domem.

.....

Niegdyś w latach dziecięcych, odczuwałem podobną tęsknotę za domem.

Tęsknota za domem rodzinnym! Kto jej nie zna? Kłosał to cierpiał już dla niej lud z jej powodu, to wie, jak ona potrafi rozdzierać piersi. Cudś starsi może będą sobie drwili z tego ale dzieci ją znają.

Pewnego razu, jako mały jeszcze chłopczyk, miałem wyjechać na kilka letnich tygodni do mego wujka do wsi. Gdy wsiadałem do pociągu czieszyłem się o groźbę. Lecz już po kilku dniach pojawiła się wsi. Pewnego razu cała rodzina nie mogła wnieć odzyskać. Wreszcie znaleziono mnie w malenkim zagajniku; zalanego łzami i twarzą zagrzeszoną w ziemi.

Jeszcze dziś odczuwam rozszalałające serce moje uczucie, które mię wówczas owładnęło, gdy wracałem do wsi, ujrzałem zdala wieże i mury mej rodzinnej Warszawy.

Gdzieś, niedługo, czytałem o szczepach półdzikich eskimosów, zagnieżdżonych daleko w najszarajszej lodowatej północy. Otóż, gdy są oni zmuszeni żyć poniżej granicy wegetacji drzew, lub jeśli nieprzyjazne okoliczności na długi czas uniemożliwiają im powrót do bezgranicznej dali ich pustyni lodowej, wówczas powoli giną, jak rośliny, które przeniesiono i przesadzono do innej, obcej ziemi.

Czyż nie pisze Jack London i inni, po domnych historii o mieszkańcach południowych wysp, którzy zostali "zwerowani" do pracy na plantacjach olajnych farmerów, położonych z dala od ich ro-

dzinnych wysp?

Mimo najsurowszych kar, najostrejszego dozoru, udaje im się prawie zawsze zbiedz. Wówczas przepływają oni nieprawdopodobnie długie przestrzenie, przejeżdżają w malenkich łupinkach morze dniami i tygodniami, narażeni na największe niebezpieczeństwa. Lecz są oni gnani przez tęsknotę, która jak jakaś paląca gorączka żre ich intoczy, a na którą istnieje tylko jeden środek zbawczy: stawić wolność i życie na jedną kartę po to tylko, ażeby ujrzeć znowu palmy rodzinnej wyspy, kołysane przez świeży wiatr pasatu.

Ja sam widziałem już różnych półdzikich, niepoohamowanych, ordynarnych drabów, którzy, kiedy mowa była o ich rodzinnych stronach, miękli jak dzieci i mieli łzy w oczach.

To uczucie tęsknoty za domem, jakie odczuwałem w latach dziecięcych, z czasem zmieniło się na wręcz przeciwne uczucie, mianowicie: w tęsknotę za jakąś nieokreśloną, nieznaną daleką.

Tęsknota taką podobną jest do choroby, gdy nawiedza ludzi, którym los odmówił normalnej miary wstrzymania.

Dziwna niechęć osłabiająca obojętność dalej nawet, wrogie usposobienie się do dotychczasowego, przywykłego otoczenia, niedające spokoju parcie w dal, są zwiastunami tej "choroby".

Wł. Dobrowolski.

D. c. n.

N O W E P I S M O .

Dowiedzieliśmy się, że w najbliższych dniach ukaże się nowe pismo "Junak". Wiedząc o trudnościach z jakimi walczy każdy nowo powstający organ prasowy, zachęcamy wydawcę, ażeby nie zrażał się temi trudnościami, tylko wytrwale dążył do swego celu. Życzymy powodzenia naszym młodym kolegom z "J U N A K A".

Na marginesie filmu "Przedziwne kłamstwo"-Niny Petrownej.

P A M I :

Nie wiem czy mój list dotrze do Twych rąk.

Nie wiem?

Zresztą jest mi wszystko jedno. Wiem jedynie, że muszę go napisać; a czy dojdzie do Twych rąk - mniejsza,

Tembardziej, że pisząc go, mam wrażenie, że z Tobą rozmawiam.

Oto jesteś przy mnie teraz, jak cię widziałem, zanim zażyłaś trucizny...

Masz puste, niewidzące oczy i blade bezwolne ręce...

Jesteś martwa z bólu...

Jeżeli serce nie pękło mi dotychczas z meżai, to tylko dlatego, że Cię kocham i, że chciałem Tobie o tem powiedzieć...

Wiem, że Ci będzie obojętnem me wyznanie.

Cóż Cię może obchodzić teraz, kiedy sama z bólu jesteś, jak głaz martwa i chłodna....

Nie wiem czy mnie usłyszysz, ale muszę Ci powiedzieć, że kocham Cię od pierwszego spojrzenia....

Może moja miłość wyda Ci się śmieszna, jeśli wyznam Tobie, że pochocham... Twój olśniony cień na rozszarganym ekranie i, że żywą nigdy Cię nie widziałem?...

Może moja miłość jest zuchwałą, gdyż jestem biedny i nawet marzyć nie mogę o zolizowaniu się do Ciebie?...

Niemniej jest szaleństwem, gdyż jakim cudem możesz dowiedzieć się, że umieram z tęsknoty do Ciebie?...

Dlatego mi jest wszystko jedno, czy list mój dotrze do Twych rąk....

Zresztą ja kocham Ninę Petrowną, a Ty jesteś Brigitte Helme....

Wiem, że do Niej jesteś szalenie podobną, że nie mogę Ciebie od Niej odróżnić, lecz ja Ją jedną tylko kocham, więc nawet nie pragnę Ciebie zobaczyć.

Nie wiem czy mój list dotrze do Twych rąk, a tak bardzo pragnę Tobie powiedzieć, że kocham Ninę Petrowną, że teraz, kiedy już Jej niema, dłużej żyć nie mogę...

Widzę Ją wciąż: w dzień w nocy, błądą i chłodną w tanich, ordynarnych pantofelkach - martwą.

Jeżeli dotąd nie oszalałem i serce mi nie pękło, to tylko dlatego, że myślałem, że Ona jest żywą, że Ona tylko spi....

Dzisiaj wiem całą prawdę i dlatego odchodzę do Niej....

Nie wiem nawet, czy mój list dotrze do Twych rąk, gdyż nie jesteś w stanie przeczytać wszystkich listów, jakie codziennie dla Ciebie nadchodzą? - a tach bardzo chciałem Tobie powiedzieć że kocham w Tobie Ninę Petrowną.....

Zresztą jest mi wszystko jedno o może Jej to wkrótce sam powiem... nikt.

ŚNIEG W KURYTYBIE .

Było to w porze zimowej.

Od paru tygodni żyliśmy w zgiętej a dokuczliwej atmosferze ciągłej szarugi deszczowej. Zachmurzone niebo co raz otwierało swe upusty, skraplając powierzchnię ziemi stugami zimnego deszczu. Ponura, rozchlapana, brazylijska zima.

Pewnego wieczora, jak zwykle, deszcz

padali; ani jedna gwiazdeczka na niebie nie świeciła, tylko widać było jak przechodziły chmury jedna za drugą, ukazując od czasu do czasu blade światło księżyca.

Na ulicach prawie że niema żywej duszy. Każdy siedzi w domu, gawędząc o tem i o owem.

Naraz słyszymy, wołając: - śnieg, śnieg!... Wychodzę do okna. Patrzę - a tu lecą płatki białutkie, jeden za drugim i porywają ziemię, tak jakby białą płachtą...

Co za radość!... Cudna noc!... Chociaż zimno było, nikt nie zważał...

Widziałam jak jeden sąsiad włosch - płakał, biorąc rozczulony grudki śniegu do rąk.

Może w tej chwili myśl jego pooległa cnen... do stron rodzinnych, gdzie ujrzał pierwszy raz światło dzienne i gdzie szczyty Apennin srebrzą się białą oponą śniegu?...

Dla mnie było to widowisko niezwykłe: - na dole domy, drzewa i ziemia pokryte jak w baśni, białym kobiercem puchu śnieżnego... W powietrzu - miljardy białych płatków opadających z wolna... z wolna...

Długo w noc nie spałam, podziwiając to чудо natury.

A co za uciecha na drugi dzień, gdy zaczęliśmy ulepić prawdziwego bałwana ze śniegu - ot tak jakbyśmy to robili tam, w dalekiej Polsce!...

Od tego czasu upłynęło parę lat, ale coraz tej cudnej nocy, jak żywy, tkwi w mej pamięci.

W. H e s s e l .

P A M I Ą T K A .

W pudełeczku leży,
Pamiętka niedźża...
Starannie złożona,
Suchuteńka róża.

Chwilką życia była,
Słoneczną, gorącą...
Gdy z cienkiej gałązki,
Urwałaś kwitnącą ...

Leży sobie leży
Przygwożdżona szpilką,
A żeby przypuścił,
Że jest życia chwilką...

Dałaś mi bielutki,
Cacany kwiatoczek,
Podoooy w świeżości
Do twoich usteczek...

.....
Na dzień pudełeczka
Miłość moja leży...
Bo ta rzeczywistość -
Ucieka... i bieży...

1.

OBRAZEK Z PUSZCZY.

W głębokiej puszczy, nad brzegiem strumyka stało "rancho". Niegdyś, mieszkali tu ludzie - dziś nikogo nie było. Ściany pokryte mchem, nawpoł zbutwiałe, - wszędzie pełno dziur. Z wnętrza wiał smutek i pustka.

Na ziemi, wśród śmieci i popiołu, walały się niedopalone główne. Na belce, szczerbiały jak ona, wyrzeźbiony z drzewa, stał święty Sebastian. Ze złożonymi rękoma, smutnie patrzył przed siebie.

Po ścianach i dachu pięły się dzikie tykwy i pnącze. Wielkie ptaszniki zakładały swe gniazda pod spróchniałemi deskami.

U strumyczka poruszało się stare "mongiolo" - stukało, ale już tak cicho, jakby nie miało więcej sił.

Ponad "rancho", przelatowały z wrzaskiem gromady papug, a pod pinjorami, żerując, chrząkały dzikie świny.

R.Z.

Wiosna! Upragniona Wiosna! Niewiadomo kiedy zawitała na te kupy, pola i lasy, tchnąc wszędzie nowe życie, radość, wesele.

Zakwitły już drzewa, zazieleniły się pola orne - w powietrzu brzęczenie owadów. Hen, na modrem sklepieniu nieba, ciągną sznury dzikich kaczek, szybują jak sztrzały, zwinne jaskółki. Wszystko co żyje zda się drgać potężną pieśnią istnienia.

Hej, Wiosna! W i o s n a !

.....

Co za rozkosz znaleźć się teraz wlecie, w tym królestwie błogości, szczęście i prostoty; wczuć się w tę duszę jego taką wielką, wzniosłą, niepojętą; napatrzeć się jak on żyje; uczyć się od niego życia i szukać natchnienia!

Przed tąbą stoi olbrzymi pinjor, co koronę zda się dosięgać dymur, a korzenie jego wżerają się głęboko w ziemię, coraz głębiej i głębiej, poszukując pokarmów. Nie jedno groziło mu już zagładą: to człowiek co go obdzierał z kory, to posuch, robactwo, to rozszalałe burze - on jednak oparł się temu wszystkiemu i rośnie z rozmachem życia.

Tam, z kwiatka na kwiatek, latają pracowite pszczołki...

Gdzieś na wierzchołkach drzew, śpiewa wesoło "sacia" a jej śpiew rozchmurza nasze czoła i może nam się wspólnie radować.

Za najłżejszym podmuchem wiatru cały las porusza się, szumi - szumi to mocniej, potężniej, to ciszej - coraz ciszej ...

Miło tu i pięknie!

Jakżem rad, że mogę oddychać świeżym powietrzem, wygrzewać się na słońcu, zaznawać spokoju. Cóżbym dał za to żeby tak móc zabrać ze sobą do miasta tę zieloność pól i lasów, to wonne powietrze, tę swobodę!

Ah! cóżbym dał!

Józef Cwiliński.

Walne zebranie członków Stow. Stud. "Sarmacja" z dnia 16 sierpnia b.r., uchwaliło jednogłośnie kupno placu pod budowę domu "Sarmacji". Plac ten, mający 68 mtr. szerokości i 52 mtr. długości, leży w centralnym punkcie miasta, przy ulicy Brigadeiro Franco. Jest duży, jak widzimy z rozmiarów, wygodny z powodu dobrego położenia i zaciszny, ponieważ łączy się z ulicą powyżej wymienioną, korutarem, mającym 20 mtr. długości, a 4 szerokości.

Jak widzimy z tych danych powierzeniach, odpowiada w zupełności naszym celom. Wybudujemy na nim nasz gmach, doleżąc od zgiełku ulicznego, uruchomimy internat, skupimy w nim całą młodzież, tułającą się teraz po lokalach różnych towarzystw, pomieszcimy Kolegium im. Henryka Siemiewicza i Zrzeszenie Nauczycieli, rozwiniemy prawdziwe życie studenckie.

Dom nasz będzie tą świetlicą młodzieży polskiej w Kurytybię, przed przymiłowac będzie part ducha młodego, cnieć-czyau tworczeo, braterskość wzajemna!

Ale to później.

Teraz samplić musimy całą naszą energję aby postawić nas D.O.M. Nie bylejakim dom, ale granitowy wysiłkiem, niebosiężny ideałem, wiekotrwały wola i Dom piękny, wygodny, - odpowiadający wszystkim naszym potrzebą ducha i ciała, gmach któryby mógł nieć nieć miano "reprezentacyjnym" kolonji polskiej w Paranie.

Gmach, za którego byśmy się nie musieli wstydzic - którego z dumą moglibyśmy wszystkim pokazać, mówiąc: - Oto wysilek naszego społeczeństwa!

Tak! - będzie on po, nikim wysi-
ku naszego społeczeństwa i będzie skupiać w so-
bie, kształcić, krystalizować dusze tych naj-
młodszych reprezentantów tego społeczeństwa -
młodzież.

Młodzież będzie wypełniała wnę-
trze tego Gmachu.

Nie ta młodzież wyrodowiona,
lub zapominająca o chwale ojczyzny swych ojców
i pracowników, ale ta młodzież świadoma swych ce-
lów i zadań, patrząca śmiało w promienne lub
szare góry, ale ta młodzież mocarna w hart du-
cha, mogąca zwalczyć wszystkich i wszystko, mło-
dzież związana na wieki z kulturą i tradycjami
swej Ojczyzny duchowej - P o l s k i .

O s t o j a .

O D P O W I E D Z I .

Słynny muzyka polski, dziś jesz-
cze żyjący i zachwycający publiczność swoją
znakomitą techniką gry, czuciem jej i własne-
mi utworami, czując się zmęczonym po wielkim
"tournee" większych miast Europy i Ameryki
Północnej, wyjechał inkognito do małej i na-
lowniczej wioski w Szwajcarii, aby tam skryty
i zamknięty pomiędzy górami wypocząć.

Paderewski, bo o nim właśnie
piszę, wyjechał inkognito, ponieważ jest bar-
dzo znany i uważał, że ten tylko sposobem bę-
dzie miał spokój. Ja (nie chcę porównywać się
z Paderewskim) napisałem wiersz kryjąc moje
prawdziwe nazwisko po pseudonimem, być to dla-
tego, ażeby się odważyć coś napisać, a napi-
sawszy unikać wzmianek mych kolegów - co do mej

kompetencji w tem wypadku (bo teraz w słowniku
" Sarnacji wyraz " k o m p e t e n c j a " jest
wypisany piustym drukiem, chociaż na wniosek
jednego z kolegów ma być z niego wykreślony),
bąc to dlatego, ażeby okazać moją irracjonalną jesz-
cze talent, którym zdaje mi się obdarzyła mię
Muza Kalliope. Tymczasem okazało się, że ta nie-
wzięczna inspiratorka słynnych greków przedwojeń
nie opuściła mię, bo moją wiersz, w który włoży-
łem całą moją duszę, znalazł się gdzieś w koszu,
a nie tam gdzie ja mu miejsce obudowałem.

A teraz wróćmy do Paderewskiego.
Otóż zamieszkał On w okrojonem hoteliku, używa-
jąc wyczasów, do których od tak dawna marzył.

Zdażyło się, że w tem czasie wła-
ściciel hoteliku wydawał za moją swą córkę jedyna-
czkę. W dzień ślubu, gdy wszystko było gotowe,
okazało się, że brak muzyki. Paderewski zauważył
szy wielką kłopotliwość ludzi, których serdecznie
polubił, zaoferował się grać. I bawił na pla-
ninie od wieczora aż do rana, a ludzie bawili
się ochoczo i wesoło.

Gdy już goście się rozeszli, pan
młody zbliżył się do zmęczonego mistrza i prosił
mu kopertę, którą Paderewski schował do kiesze-
ni.

W pokój rozdarł kopertę, w któ-
rej znalazł 20 franków i kawdkę z podziękowa-
niem, oznaczającą, że muzyka nie była więcej
warta.

Możliwe, że i mnie spotkał ten
sam los co i mistrza, lecz w innej dziedzinie i
formie.

Zaznaczam, że pisząc wiersz, któ-
ry znalazł się wśród szpargałów zawalających miejs-
ce na biurku kolegi ex-redaktora, miałem na myśli
dwójaki futurizm: formy wiersza i jego treści.

Ozyrys Wielki.

DZIEŃ "JUNAKA".

Nie będę, w tych kilku zdaniach jakie jestem moralnie zmuszony nakreślić na tej stronicy, wyłuszczać szczegółowo przebiegu całego dnia 20 sierpnia, dziesięcioletniej rocznicy powstania tego, tak młodego w zasoby jednostkowe, chociaż starego tradycją towarzystwa sportowego.

Nie robię tego wszystkiego, ponieważ prasa kurytyoska, której naturalnie jest pro prostu obowiązkiem, szczegółowo i dokładnie opisać zdarzenia tego epokowego dnia - już rozpisala się o nim obszerniej lub krócej.

Mnie, mnie jako jednemu z tej setki młodzieży j u n a k i e j, przypadł inny obowiązek - powiasek wyrażenia tego co każdy z nas czuje po tym dniu; tego co może nie wszyscy junacy umiownie rozumieją.

Dzień "JUNAKA" nazwałem epokowym, ponieważ od tego dnia dobitniej i mocniej niż od któregośkolwiek z poprzednich, dała się odczuć różnica może i podświadoma, do wywyższenia nad inne organizacje członków występujących w barwach Junaka nad członkami innych stowarzyszeń, a zarazem do wzajemnie ścisłego poznania.

Znaliśmy się od dawna, ale sportowo dopiero teraz się poznaliśmy. Dopiero po tym dniu mogliśmy zbadać w zupełności nasze siły i możliwości sportowe, w porównaniu z siłami innych klubów. Dopiero teraz świadomi jesteśmy jakimi drogami iść musimy do zdobycia rekordów nie jednostkami lecz całościami.

Ponieważ nie w jednostce osamotnionej siła, lecz w jedności - a jedność tworzy całość nie dającej się skruszyć.

W zoieterowym harcie ciała i ducha "Junaków" bę dzie jego siła i odporność!

L. R.

O D

R E D A K C J I .

Wszystkim pismom, a w szczególności "Prawdzie Polskiej" - serdecznie dziękujemy za zachęcające nas do pracy dziennikarskiej notatki i artykuły.

Podzielamy też w zupełności zdanie "Prawy Polskiej", żeby jaanajwiększa ilość młodzieży pisywała do "S A R M A T Y" i na jego łamach się wyrabiała.

Z niniejszego numeru zauważyć już można pokazny wzrost naszych współpracowników.

Przy okazji zaznaczamy, że wszelkie artykuły, wysłane z pod pióra jakiegokolwiek z tutejszej młodzieży, a zgodzające się z naszymi dążeniami - z przyjemnością drukować będziemy.

Do pracy więc M ł o d z i e ż y !

XXXXXXXXXXXXXXXX

Kol. Antoniemu Ś l i w i Ń s k i e m u, byłemu redaktorowi "S A R M A T Y", szczerze dziękujemy za dotychczasową pracę, a zarazem wyrażamy głęboki żal z powodu utraty tak pólnego współpracownika.

XXXXXXXXXXXXXXXX

Koleż. Henia Kowalska -

Wiersz bardzo dobry, lecz nie możemy wydrukować z powodu wielkiej sprzeczności jakie posiada z charakterem naszego planu. Prześlij o rzeczy wesole, pełne młodzieńczego zapału, wiasek życia!

XXXXXXXXXXXXXXXX

Ponieważ napływa do "S A R M A T Y" sporo materiału, pisanego na maszynie, uprzejmie prosimy naszych współpracowników o nadsyłanie go w prostokacie o wymiarach: 11,5 x 17,5 cm., bo tym sposobem ułatwi się znacznie prace redakcji. Materiał może być pisany na obu stronicach. (format stronicy "Sarmaty").

XXXXXXXXXXXXXXXX

